

Droga śmierci

Wspomnienia Antoniego Malinowskiego z Plut

Chcę opisać ten pobyt na gościnnej ziemi, o którym tak często wspominał Wojciech Jaruzelski, tylko dla większości Polaków ta gościnność była inna.

W Kobielnem była pierwsza potyczka naszej partyzantki z NKWD (patrz "Karta", artykuł prof. T. Strzembosza). Komendant ("Burski") zdołał się skryć w krzakach i ja go zaprowadziłem do Niemiec.

Na początku sierpnia 1940 roku zostałem aresztowany przez NKWD i wraz ze mną jeszcze pięciu kolegów, a siódmy był aresztowany wcześniej. Byliśmy z różnych wsi z okolic Jedwabnego. Parę dni trzymano nas na NKWD w Jedwabnem, tu był pierwszy chrzest bo nie można było ani siedzieć, ani leżeć i chodzić też nie. Pewnego dnia podjechała ciężarówka i nas powiazano i pousadzano na dnia. Tak siedzieliśmy jeden drugiemu pomiędzy nogami. Gdy nas tak skrupowanych przywieziono do Białegostoku, to byliśmy na wpół martwi, nikt nie mógł się ruszyć, chociaż ręce enkawudziści rozwiązali. Musieli brać każdego i zrzucić na ziemię, tak się obchodzono z nami jak z padłymi zwierzami. Ta scena odbywała się na terenie więzienia w Białymstoku, potem brano nas pojedynczo i rozprowadzano po celach.

W Białymstoku nas nie bito, ale co innego dawało się we znaki - wszy, pchły, pluskwy, to każdy miał nie setki ale tysiące. To robactwo nas gryzło i nic dziwnego, że jak nas odwieźli do Mińska, to w Białymstoku zaczęli ludzie chorować na tyfus.

Jak nas wieźli do Mińska w wagonach więziennych, to chociaż był wrzesień 40 roku to ludzie się dusili, przeważnie starsi. Dali nam życia na dwa dni, a wieźli ponad tydzień. Ze stacji więźniarkami wożono nas do więzienia i siedzieliśmy na placu więziennym około dwóch godzin. Przyszedł oficer NKWD i wziął nas dziesięciu na stronę, podeszło kilku żołnierzy i poprowadzili nas kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie znajdował się bunkier wykopany w ziemi, były drzwi i w sklepieniu małe okienko 10 cm na 10. Wewnątrz

po obu stronach były rynsztoki a na wysokości ok. 2 m krany. Tam nam kazano poklekać pod ścianami, zapalono światło pomimo że było widno i trzymano nas około dwóch godzin. Potem wpadł oficer i kazał nam się zabierać. Jak się później okazało w bunkrze wykonywano wyroki śmierci i musiało ich być dużo, bo było czuć trupami. Oficer rozprowadził nas po celach.

Tak zaczęła się nowa tragedia. Prawie co noc śledztwo, niechętnie do tego wracam, po tylu latach cierpnie skóra. Wezmą człowieka z celi, zaprowadzą do gabinetów śledczych, postawią w kacie i tak trzymają. Jęki i wrzaski, tylko co i raz zmieniają się oprawcy, a nieszczęśniki czekają na swoją kolejkę. Tak było do marca 41 r., do zakończenia mojego śledztwa. Mieliśmy trochę spokoju do czerwca. W celi spotkałem porucznika rezerwy Ramotowskiego z Łomży. Siedziało też kilku oficerów z Kozielska, np. kapitan Wojciechowski, a z Ostaszkowa kapitan Skrętowski.

13 czerwca był sąd i poleciały różne wyroki, od 5 do 10 lat. Po sędzie przyganiłi nas do ogólnej celi, gdzie było dużo inteligentnych ludzi i oni tylko podtrzymywali na duchu. Jest czerwiec, okienko małe i to zamknięte. Leżeliśmy nago na podłodze z asfaltu, w błocie po kostki, bo z tego potu zrobiło się błoto.

Mamy dzień 22 czerwca, nic nie wiemy o wojnie, na terenie więzienia czy w celach słychać jakby strzały, prawdopodobnie rozstrzeliwano więźniów. 24 czerwca przed wieczór kolumnami nas wyprowadzano. Mińsk pali się, nas pędzą. Rankiem 25 byliśmy za miastem. Po drodze leżą w rowach martwi ludzie. W mojej grupie było około 400 ludzi, głód i pragnienie dokucza, nogi obolałe, a to poskarej, bo kto się ociąga zostaje na wieczne czasy na białoruskiej ziemi. Zbliża się do końca dzień 25, zastaje nas noc, robi się głodno i chłodno.

Ranek 26, konwojenci robią pobudkę. Kościotrupy, jak kto może się podnosi i dalej w stronę Czerwieni. Coraz mniej w szeregach ludzi, coraz więcej w rowach, słońce praży niemiłosiernie. Żeby chociaż łyk wody, okruch jakiego chleba. W górze przelatują niemieckie samoloty, ale nas nie

ruszają. Podporucznik Malinowski nie mógł już iść i zaczął chwiać się na nogach. Ostatekiem tchu wyszeptał "Jeszcze Polska nie..." i padł strzałą.

Po drodze mijają nas kilka razy samochód pełen NKWD. Raz jedzie do Czerwieni, potem wraca w stronę Mińska. ^{Na}reszcie zbliżamy się do lasu, już nawet ci mocniejsi chcą odpoczynku. Enkawudzista powiedział - dojdziecie do lasu i będziecie spać. Tak się stało. Samochód co nas minął stał w krzakach, nas wpędzono na wąską drogę, myśmy się zorientowali, co nas czeka, ale o ucieczce nie było mowy. Przy przepuszczeniu został zamordowany p. Słotwiński. Wpędzono nas na polanę, kazali się położyć na plecach, a sami przystąpili do działania. Początkowo rozstrzeliwano dziesiątkami i w ten sposób zabito 90 ludzi. Dopiero ci, co pozostali przy życiu nie zważając na nic zaczęli podnosić się z ziemi. Oficer i zwykli enkawudziści nawoływali do spokoju. Prędko przesłuchano tych, co przy życiu pozostali, przesłuchiowano z dala od reszty. Ja byłem skazany na śmierć, ale usłyszałem jak jeden człowiek zapytany przez oficera za co siedzi powiedział, że ukradł kurę i go za to posadzili. Przeczuliłem się do drugiej grupy i w ten sposób ocalałem. Podszedł do nas oficer, kazał nam podnieść się z ziemi i powiedział - Stalin wam daruje, idźcie bronić ojczyzny. Pomiędzy oprawcami znalazł się (dobry) człowiek. Jeden z naszej wioski był skazany na śmierć, ale kazał mu uciekać i on przeżył, nazywał się Bolesław Smoliński. Na tych co pozostali na polanie posypały się strzały, słychać było jęki i pojedyncze strzały. To mi pozostało do dzisiejszego dnia w pamięci.

Aleksander Mogielnicki z naszej wsi, Mietek Wiśniewski z Pawełek zostali zabici, w tym czasie mieli 18, 19 lat. To działo się w odległości 3 lub 4 km od Czerwieni, od strony Mińska.

Mój sąsiad, który powrócił, już był w Czerwieni, więzienie było pełne ludzi, a ich trzymano na placu więziennym i gdy nastąpiła noc, to enkawudziści wyprowadzali więźniów i w pobliżu było słychać strzelaninę, w więziennych pomieszczeniach też było słychać strzały.

Franciszek Pieniążek z Biodrów był w innej grupie, pod Czerwienią wegnali ich na polanę i otworzyli ogień z maszynowej broni. On był tylko lekko ranny w plecy, a marynarkę i czapkę nosił na pamiątkę, dopóki żył, to pokazywał w jakiej opresji był. Z tej grupy przeżyło tylko 3 ludzi. On miał na sobie 3 trupów i to go uratowało, bo chodzili i sprawdzali czy ktoś żyje, słyszał strzały z pistoletu. Jak podeszli do niego, to jeden powiedział - ten na spodzie to podoch. Ale to nie był koniec, rzucili jeszcze granaty, na końcu zajechał samochód i zakręcił po pomordowanych.

Pozostało nas jeszcze trzech : z Wososza Soliński Jan, z Plut Mościcki Władysław i ja.

Dla tych co leża po jednej stronie Czerwienia jak i po drugiej, niech ta Białoruska ziemia, chociaż w owym czasie nieludzka, będzie lżejsza.

Do druku podał Jerzy Pankiewicz.

Świadków opisanych wydarzeń oraz rodziny pomordowanych w Mińsku w latach 1939-41 i podczas ewakuacji proszę o kontakt.

Jerzy Pankiewicz
ul. Wróblewskiego 25

51-627 Wrocław

© ARCHIWUM WSPÓLNE